

Moskwa¹ Rozmowy w Arctic-Ugol line

Rezydencja ubogoszlachecka, przed nią, na ławeczkach rozsiadli i wypoczywający górnicy z Barentsburga, oczekujący tu na załatwienie różnych swoich spraw przed powrotem na Daleką Północ. Pokój Gusiewa przytulny, najzupełniej nie „Dyrektorski”, stara głęboka kanapa, mebelki odziedziczone po babuszcze, fotografie osady górniczej nad fiordem, oprawne w domowe ramki.

Ale człowiek rozmawiający z nami to człowiek miękki, rozprężony, zycziwy; sprawuje władzę nieograniczoną niemal – z naszego punktu widzenia – nad Republiką Barentsburgą i jej murmańskim przyczółkiem. Od jego postawy zależy powodzenie naszej wyprawy.

Jej główny plan – trawers zachodniego Spitsbergenu – wspiera się na założeniu, że możliwe będzie zorganizowanie transportu ludzi i rzeczy z Barentsburga na północno-zachodni kraniec wyspy. Gusiew przypatruje się nam zyczliwie. Tłumaczy, że chce nam pomóc, ale dotychczas nie wiedział jak. Teraz zaczyna mu się wszystko rysować jaśniej. Dokonuje głośnego przeglądu swego kopalnianego dobytku. Statkiem mógłby nas zawieźć na cypel, jeśli nie zrobią tego Norwegowie; helikopter mógłby nas zabrać z powrotem przez fiord, gdy znajdziemy się już na południowym cyplu. Mówi wolno, łagodnie, wyraźnie cieszy się bogactwem środków, które mógłby uruchomić. Jego przyjazna potęga rozstrzyga o sprawie. Bylebyśmy dojechali do Murmańska i weszli w jej krąg – wszystko będzie możliwe.

Burza i po burzy, czyli Murmańsk zakryty i odkryty

Na Wnukowo przyjeżdżamy po jeździe na światłach przez całą Moskwę. Przypominało to przejazd szerokim kanionem z poprzecznymi prześwitami. Brzegi kanionu wysokie i równe wystrzeliwiają od czasu do czasu wieżami wysokościowców typu *Empire staliniane*, wobec których potęgi i rogatej rozłożystości mijane od czasu do czasu cerkiewki stają się niepomierne małe i wylęknięte. Mimo swej nieparzystości i znaczącego braku proporcji pamiątki na lotnisku częściej, o wiele częściej, zdobione są motywem cerkiewki niż niebo szturmowca. Cerkiewki i sceny z ludowych baśni – wydaje się, że te oba elementy zlały się z sobą w jakąś całość baśniowej tradycji, będącej tutaj istotnym, żywym składnikiem poczucia historycznej tożsamości.

Lot do Murmańska

Opalone kobiety, marynarze, inżynierowie. Lot nad krajem wypełnionym rozmokłymi lasami. Linia słońca znaczone niustannie przerywanym odbły-

JAN STRZELECKI

Z zapisków, notesów, listów

skiem w lustrach leśnych wód. Bezbrzeżne Polesie – jeziorka, rozlewiska, młaki, rzeki – aż prawie do Murmańska, przed którym schodzimy nisko nad tundrę, pagórzastą, zieleniejącą brzożami i bielejącą śniegiem. Powietrze urzekająco przejrzyste, zieleń i niebieskość krajobrazu w mocnym słońcu polarnym. Czeką nas przedstawiciele Arctic-Ugol z autobusikiem zabierającym nas do Murmańska. Przyjeżdżali już raz na moskiewski wcześniejszy samolot – przyjechali teraz po raz drugi.

Towarzysz Jugin z AU sprawia wrażenie wysłannika wielkiego majątku zapraszającego nas w gościnę. Jest w nim coś z wiejskiej gościnności. Polarnikiem jest już od dwudziestu jeden lat.

Kilkadziesiąt kilometrów dzieli nas jeszcze od Murmańska. Pasek lotniska wynaleziono z trudem wśród falistej tundry. Wąską drogą, wijącą się wśród jeziorzek i wzgórz, jedziemy do miasta. Niedaleko od skrzyżowania szos, od zachodu, dobija droga do Szwecji i Norwegii – znak niemieckiej fali z lat wojny, która tutaj sięgnęła najdalej.

Miasto rozciągnięte nad brzegiem długiej, wąskiej zatoki, nad fiordem, pełne szeregów nowych domów uparcie jednostajnych, zróżnicowanych nieco kolorem. Ponad trzysta tysięcy marynarzy, portowców, wojskowych. Stajemy w hoteliku Inturista, w którym większość recepcyjnych obowiązków pełnią miłe „ciocie”. Z dala od turystycznych tłumów z zachodniego świata nie ulega się tu modzie na młode dziewczyny. „Ciocia” jest dużo właściwszą postacią na radzieckiej północy – co ma swoisty wdzięk i urok niepodległości wobec światowych obłędów. Poza tym, jak się może zdawać, warstwa ochronna dodatkowego ciała ma swój poważny walor w tym obszarze. Hotel dorównuje „ciociom” w obojętności wobec zachodnich mód natarczywej nowoczesności: kanapki, fotele, kwiatki i malowanie ścian jest domowe w takim samym sensie, jak domowe są skojarzenia wywoływane przez pojęcie „cioci”. Żadnych nowoczesno-plastikowo-kolorystycznych szaleństw, żadnych uległości wobec prestiżu Zachodu, żadnej czołobitności, żadnego współzawodnictwa.

Restauracyjka Siewier przy hotelu. Duży ład w obsłudze, posłuszeństwo gości wobec kelnerów, które nie posadzą nikogo, nie wysprzątawszy stołu po poprzednikach. Przybывamy o północy, ale jeszcze, jako goście dość specjalni, coś dostajemy, a Jurij z Odessy, miły, samotny i lekko zawiany inżynier, opowiada coś z sympatią o Polsce i stawia nam karafkę wódki. Jego flama, Wala, podaje ją z pewnym ociąganiem, ale w końcu pijemy, wymieniamy adresy i zapraszamy Jurija do odwiedzenia nas – jak tylko będzie mógł. Niedługo ma być służbowo w Gdańsku.

Na statku Dnieprodzierżyńsk mamy być o szóstej. Przedtem Arctic-Ugol podstawia nam autobus, który zawiezie nas do samego portu, na nabrzeże węglowe. Nabrzeże to jest obszarem operacji naszej wspaniałej firmy. Czujemy się tu pod jej opieką. Jesteśmy jej partnerami. Arctic, uznając nasze racje, wyprawia nas wszystkich razem, a nie w dwu rzutach, jak to było w pierwszym projekcie. Nie jesteśmy żadnymi normalnymi turystami z zagranicy, którym trzeba zapewnić komfort za odpowiednią opłatą. Arctic pomieści nas w kajutach załogi i cenę skalkuluje bardzo nisko. Spod opieki „cioć” wchodzimy w zakres opieki wujaszka. Wujaszkwaty Jugin odwozi nas do burty i jego obecność czyni wszystko łatwym...

Wejście do Barentsburga

Patrząc nie ku kopalni, lecz na przeciwną stronę wąskiego fiordu, widzi się obraz podobny do widoku znad Wielkiego Stawu ku Liptowskiemu Murom.

*

Wychodzimy w końcu Ewenkiem o 9 wieczorem. Jest to mały holownik budowany w Finlandii, mocny i wygodny. Buja solidnie. Za Greenfiordem wypływamy na Istfiord. Fala długa, pełno mew i alek. Krajobraz wspaniały, góry z dwu stron, mocniejsze w granacie i bieli niż wczoraj w łagodnym słońcu.

Trochę mży, nad oceanem ciemne chmury przydające powagi całemu obrazowi.

Musimy wyjść na pełne morze, aby opłynąć Prins Karls Forland – długą wyspę ciągnącą się ku północy wzdłuż zachodnich brzegów Oscar II Land. Wyspa o szczytach wysokości do 1100 metrów spada w ocean żłebami i filarami zmurszałej skały. Fenomen schodzących w morze lodowców zaczyna się dla nas dopiero wyżej – w Kong i Krossfiordzie. W ten drugi wchodzimy z zamiarem założenia stacji żywnościowej. Po prawej stronie spadają w morze – a raczej spływają – szerokie stoki lodów, załamując się nad morzem błękitną barierą. W głębi odnogi zwanej Möllerfiordem błękit staje się farbkowy i cieniowany, odbijając zarówno od stalowej szarości morza, jak i od skał i śniegu. Wchodzimy w Liliehöfjorden. Coraz więcej w nim kry.

*

Skrót listu 16 XI 58
Berkeley

Piszę zaraz po otrzymaniu Twojego listu, który zastałem po powrocie z wielkiej dwudniowej wyprawy w góry, doliny i wzgórza północnej Kalifornii. Wyprawa była bardzo piękna. Odbylem ją w aucie pewnego miłego Szwajcara, wraz z drugim miłym Szwajcarem i jednym z naszych matematyków, którzy mogliby tu założyć polsko-kalifornijską odmianę warszawskiej szkoły matematycznej i filię Klubu Wysokogórskiego. Jest ich tu czterech z profesorem Mostowskim, którego, tak jak i mnie, zjada tęsknica. Więc, żeby się pocieszyć, pojechaliśmy w piątek wieczorem w ciemną nockę ku dalekiemu, jak mniej więcej Kraków od Warszawy, wygasłemu wulkanowi. Wulkan wysoki na 3 tysiące metrów, widny jak śnieżny trójkąt nad pasmem wysokich zalesionych wzgórz, nazywa się Mount Lassen. Jest oswojony jak Babia Góra. Ostatni raz dmuchnął troszeczkę w 1916 roku i od tego czasu dał sobie założyć obrożę narodowego parku i przyjmuje turystów...

Nocą łatwo tu jeździć, bo mały ruch na wielkich, sześciu- lub czteropasmowych szosach... Wszystkie skrzyżowania i rozgałęzienia oznaczone świetlną sygnalizacją – skrzyżowania mrugają automatycznie zielonym lub czerwonym okiem, niekiedy mrugną żółtym, rozgałęzienia, mosty, zakręty jarzą się i rozbłyskują w światłach jadącego wozu. Ta nocna jazda po prawie pustej drodze, na której grają sygnały, jarzą się zawsze gotowe stacje benzynowe, migają reklamy moteli i stoiska *used cars* – to robi wrażenie, rzadkie jak dla członka narodu kawalerzystów.

Wybacz te prowincjonalne spostrzeżenia, ale tu nawet w nocy nie sposób zapomnieć, że Ameryka zaludniona jest głównie przez auta. Człowiek bez auta jest bezradny, opuszczony, zagubiony. Jeśli nieco poza miastem ośmieli się iść piechotą, wszyscy się za nim oglądają a przejeżdżające w rodzinnych, długich jak krokodyle autach dzieci pokazują go sobie palcami, ciesząc się, że będą miały co opowiadać w szkole: widziały chodzącego człowieka, kiedy teraz nie ma już ludzi, są tylko auto-ludzie. Ludzie istnieli dawniej, przed erą Wielkiej Czwórki, której powstanie zmieniło naturę człowieka – wyrosły mu cztery koła, a właściwie pięć, wliczając kierownicę. Odtąd wszystko służy auto-ludziom, a człowiek robi wrażenie zbiega z indiańskiego rezerwatu, po którego niedługo nadjedzie, bucząc głośno, auto-policjant i odwiezie go tam, gdzie przebywać powinien: w strzeżonych, ogrodzonych parkach, razem z sarnami, sekwojami i Indianami, jako pewna odmiana, wczesna i zanikająca.

Jechaliśmy w górę rozległej, nawodnionej kanałami doliny rzeki Sacramento, głównej rzeki północnej Kalifornii. Nie większa od Pilicy tylko mniej senna i zebra-

na w sobie a nie zagubiona w meandrach. Ujęta w wysokie tamy, silna nawet teraz, po półrocznej suszy. Taki mały, wygładzony Nil. Żywny. Wszystko nam się odsłoniło raniutko, gdyśmy się wygrzebywali z namiotu rozstawionego nad brzegiem przydrożnego ścierniska.

Piękna steinbeckowska dolina – pomyślałem, patrząc wokół przez oczyszczone przymrozkiem poranne powietrze na dwa piękne pasma ciągnące się z północy na południe, przyprószone śniegiem, pokryte w niższych partiach nalotem ciemnozielonych drzewo-krzewów. Pełak Lassen widać było nad powoli zbierającymi wzgórzami, jak różowawy rąb nad dalekim horyzontem. Po drugiej stronie doliny siwe, łagodne wierzchołki, a raczej garby Cast Range, za którymi chowa się Pacyfik.

Ruszyliśmy, po kubku mleka z płatkami, ku Peak Lassen.

Droga pochyła wyżyną, przeciętą czasami skalistymi jarami. Sucha, szaro-rudawa trawa, niskie, krzaczaste drzewka. Pustka kilometrami. Czasami jakieś ranczo. Czasami ślad porzuconej siedziby. Poza tym pustka, jaką trudno spotkać w Europie... Tutaj pełno półstepowej, półgórskiej dziewiczości. Człowiek jest tu istotą przechodnią, a raczej przejeżdżającą. I my przyjechaliśmy przez zaśnieżone już lasy Peak Lassen. W górze dużo śniegu i nieprzetarta droga, więc zjechaliśmy ku dolinie i na ostatnich, łagodnych już piętrach wzgórz, podobnych nieco do regli, tylko nie tak pięknie porośniętych, rozbiliśmy obóz, paląc wielkie indiańskie ognisko.

Taka noc przy ogniu i księżycu, w dalekim, nieznanym kraju, jest czymś tak pięknie pierwotnym, że rozumienie duszy dawnych, koczowniczych kultur zdaje się tak proste, jak sięgnięcie ręką poza krąg światła. Historia wydaje się czymś cienkim, współczesność czymś pozornym, co zgasło razem z dniem. Jesteś sam wobec ognia, w nocy – i określić cię może tylko to, co kochasz i czemu jesteś wierny.

Blisko jest z takiej nocy do starodawnych spraw – mistyki i plemienności, blisko tak bardzo, że czujesz to za plecami, jak cień odsuwany poza krąg ogniska, ale czekający na swój czas i swoją godzinę.

Oglądam rano, na czym stanąłem wieczorem i boję się, że to brzmi nieco zbyt tajemniczo, zbyt literacko. Takeśmy się odzwyczaili, żyjąc w środku miast i otoczeni znanymi rzeczami i ludźmi, od takich nocy w nieznanym... Mistyka – to słowo wywołuje skojarzenia niezbyt łaskawe zarówno wśród logików, jak i wśród marksistów, a to są na ogół dwa intelektualne środowiska, w których obracam się najczęściej. Ale Ty to zrozumiesz – to nie oznacza bynajmniej czegoś leżącego poza kręgiem umysłowej rzetelności, czegoś, czemu ulega człowiek zmęczony trudną jasnością, odrzucający trudną dyscyplinę lub pragnący zanurzyć się w podejrzanego pochodzenia przeżycie – to oznacza po prostu ciche i uparte odczucie, że jest w świecie jakaś struna nieobojętna miłości, struna, która brzmi smutno, gdy jesteśmy puści, struna, która brzmi jasno, gdy zapuszczamy korzenie.

Tego się nie da udowodnić, to jest poza dowodem, ale nie jest poza poezją, mocną dobrą poezją, która sprzyja życiu i która nie jest tylko poezją kontemplacji, ale jest poezją działania, choćby działaniem tym było mycie podłogi, gdy jesteś zmęczona.

Ogromnie trudno pisać o takich sprawach, bo ciągle napotyka się bardzo zużyte, bardzo mocne słowa, a poza tym czuje się człowiek, jakby przystępował z tępą siekierą do cięcia drogi w ogromnym, bujnym lesie. Więc to zostawiam, ale taka noc jest to noc przyjazna najlepszym sprawom świata i nie przeczy dniowi, ale go uzupełnia.

Szwajcarzy pletli przy ognisku o Ameryce. To nie znaczy, że mówili od rzeczy. Naśladowali głosy radiowych reklam wychwalających wszystko, co się da, opowiadali, jak matrony tutejsze reagowały na wypuszczenie sputnika, uważając to za narodowy szok. Ot i tak sobie gadali o różnych rzeczach.

A następnego dnia widzieliśmy wiele piękności i dzielnie zdobywaliśmy Peak Lassen, ale o tym już Wam później napiszę...

Całuję Was bardzo
Janek

Przypisy

¹ Zapis pochodzi z notatek zrobionych w drodze na wyprawę polarną na Spitsbergen. Wyruszyła ona z Polski w lipcu 1973 roku, z okazji Międzynarodowego Roku Kopernikańskiego. Założeniem jej było dokonanie trawersu wyspy z zachodu na wschód i wejście na znajdujący się tam szczyt Kopernika. Droga wiodła przez Moskwę i Murmańsk do Barentsburga, leżącego przy zachodnim brzegu Spitsbergenu. Zaraz po powrocie ze Spitsbergenu Jan Strzelecki opublikował w „Literaturze” obszernie cztery artykuły-wspomnienia z przebiegu wyprawy. (Ukazały się już w sierpniu i na początku września). Radio zaś rozpoczęło w grudniu nadawanie 10-ciu audycji o Kopernikańskiej wyprawie, które miały formę rozmów z uczestnikami wyprawy.

W wyprawie Spitsbergeńskiej brali również udział przedstawiciele Kościoła, których zadaniem głównym było odprawienie mszy na szczycie Kopernika. Tymi przedstawicielami Kościoła byli: ks. Andrzej Woźnicki profesor filozofii na Uniwersytecie w San Francisco i ks. Władysław Dobroć duszpasterz ze Szczecina. Na zakończenie wyprawy ks. Dobroć ofiarował Janowi Strzeleckiemu swój egzemplarz pisma Świętego Nowego Testamentu opatrzony następującą dedykacją:

„Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych mnieście uczynili”

Niech słowa te będą nagrodą za Twój miły uśmiech, serdeczne słowo, bratnią dłoń zawsze gotową do pomocy w czasie tych pięknych dni spędzonych wspólnie na Spitsberginie.

Murmańsk 73, Władek